

0 (braku) demokracji w Ameryce

11 września 2020

„Nie znam kraju, w którym miłości pieniądza zajmowałaby więcej miejsca w ludzkich sercach i w którym żywiono by głębszą niechęć do idei równości majątkowej” – pisał Alexis de Tocqueville w swoim klasycznym dziele „0 demokracji w Ameryce”. Właśnie te dwie rzeczy, wielkie pieniądze i jeszcze większe nierówności przesądziły o tym, że owa demokracja w Ameryce już od dawna jest fikcją.

Niedawno pisałem o tym, jak administracja prezydenta Trumpa w ramach „pakietów pomocowych dla gospodarki” podarowała wielkim korporacjom setki miliardów dolarów, podczas gdy w tym czasie większość społeczeństwa w obliczu kryzysu i ogromnego wzrostu bezrobocia nie mogła liczyć na choćby symboliczne wsparcie. Co ciekawe, decyzja o takiej właśnie formie „ratowania gospodarki” spotkała się z aprobatą całej klasy politycznej. Demokraci, mający większość w Kongresie, nawet nie zaproponowali objęcia dystrybucji środków z pakietów pomocowych jakąkolwiek kontrolą. Wszyscy „wybrańcy narodu” (na co dzień prowadzący na forum zajadłe spory) wspólnie poparli tym samym bardzo kosztowny prezent dla wielkich firm, jednocześnie będąc całkowicie ślepymi na problemy społecznej większości. Skąd ta niespodziewana jednomyślność?

Partię Demokratyczną i Republikańską dzieli bowiem bardzo wiele, ale jedno łączy – siedzenie w kieszeni wielkiego biznesu. Było tak zawsze, jednak teraz, w obliczu rosnących bardzo szybko nierówności społecznych i osiagających niewyobrażalne rozmiary fortun najbogatszych przybrało to karykaturalne rozmiary. Politycy w USA coraz częściej nie udają już nawet mężów stanu i otwarcie ograniczają się do roli lobbystów swoich sponsorów. Warto więc w tym czasie przyjrzeć się mechanizmom, które umożliwiły amerykańskiej finansjerze

całkowite podporządkowanie sobie aparatu państwowego.

Pierwszym z nich jest finansowe uzależnianie od siebie polityków. Uprawianie polityki kosztuje, trzeba dużych pieniędzy na kampanie wyborcze, spoty, banery, ulotki, organizację wieców i spotkań, etc. Według ostatnich wyliczeń udana kampania do Izby Reprezentantów kosztuje ok. 2,5 mln dolarów. W większości państw europejskich jest tak, że te pieniądze pochodzą prawie wyłącznie z dwóch źródeł: składek członków partii oraz dofinansowania publicznego, a darowizny mogą wpłacać tylko osoby fizyczne (nie firmy) i są one ograniczone z reguły do niezbyt wysokich kwot (w Polsce jest to 15 – krotność minimalnego wynagrodzenia na rok).

W Stanach Zjednoczonych też oficjalnie istnieją bardzo podobne limity i ograniczenia. Jednak wyrok tamtejszego Sądu Najwyższego z 2010 roku otworzył nawet nie furtkę, ale szeroką bramę do ich obejścia. Zgodnie z nim wolność słowa oznacza wolność wydawania pieniędzy, ponieważ „pieniądze to też słowo”. W uzasadnieniu napisano, że skoro konstytucja gwarantuje każdemu Amerykaninowi nieograniczoną wolność słowa, to nie można ograniczać nikomu prawa do kupowania miejsca w mediach na głoszenie swoich poglądów. Daje to pole do nieograniczonego finansowania pośredniego kandydatów. Dalej nie wolno po prostu dawać partii czy politykowi pieniędzy, ale można bardzo łatwo założyć Political Action Committee (Komitet Działania Politycznego), inaczej Super PAC. Takie Komitety mogą bez żadnych ograniczeń publikować w mediach materiały wspierające swoich kandydatów i szakujące ich konkurentów. Jest tylko jeden warunek, który realnie nie jest żadnym warunkiem – Super PAC nie mogą oficjalnie koordynować tych działań ze sztabem wyborczym.

Obecność we wszelkiego rodzaju mediach to szczególnie dzisiaj, w erze cyfrowej, podstawa wyborczego sukcesu. Pokazuje choćby zwycięska droga Donalda Trumpa do prezydentury. Jak w praktyce wygląda współdziałanie polityków i Super PAC? W trakcie jednej z ostatnich kampanii wyborczych Mitch McConnell, republikański

senator, wrzucił na YouTube krótki, ale bardzo dziwny z pozoru film: widać na nim najpierw McConnella siedzącego przy biurku (kamera się wokół niego obraca i pokazuje go z każdej strony), w następnej scenie senator rozmawia z żoną, potem w kasku gawędzi z robotnikami, dalej przemawia do tłumów na spotkaniu. Wszystko to jednak bez żadnego dźwięku ani napisów. Taki materiał bowiem może sobie następnie wziąć wspierający go Super PAC, pociąć go i zrobić z tego spoty, dla których za miliony dolarów wykupi miejsce w mediach.

Kolejne orzeczenie Sądu Najwyższego jeszcze wielokrotnie tę patologię spotęgowało. W wyroku sąd uznał, że korporacja jest jak człowiek i też ma swoje niezbywalne prawo do wolności słowa, czyli w praktyce – że na Super PAC pieniądze mogą dawać też wielkie firmy. Dobrym przykładem tego, do jakich wynaturzeń prowadzą takie możliwości, jest działalność braci Koch – właścicieli paliwowej korporacji Koch Industries. Jako libertarianie przez dziesięciolecia wspierali oni w Partii Republikańskiej jej skrajnie wolnorynkowe skrzydło – tzw. TEA Party na czele z Tedem Cruzem. To ich setki milionów dolarów przesunęły poglądy Republikanów tak skrajnie na prawo w kwestiach gospodarczych.

Kupowanie sobie posłuszeństwa urzędników i deputowanych to jednak nie jedyny sposób, za pomocą którego wielki biznes robi z państwa prywatny folwark. Drugi to stała wymiana kadrowa na linii Wall Street – Waszyngton. Robert Rubin, najpierw współprezes Goldman Sachs, został potem w gabinecie Billa Clintona sekretarzem skarbu. W rządzie popierał daleko idącą deregulację rynku finansowego, która doprowadziła do kryzysu z 2008 roku. Henry Paulson, sekretarz skarbu G. Busha Jr., także był wcześniej prezesem Goldman Sachs. Larry Summers, dyrektor zarządzający funduszu arbitrażowego D. E. Shaw, został szefem Narodowej Rady Ekonomicznej w administracji Baracka Obamy. Obecny sekretarz skarbu Steve Mnuchin w czasie kryzysu w 2008 roku przewodził bankowi Indy Mac i dorobił się fortuny na wyrzucaniu ludzi z mieszkań z byle powodu. Liczne związki

osobiste występują także na niższych szczeblach. To model tzw. „drzwi obrotowych” – członkowie zarządów banków obejmują wysokie urzędy publiczne, zyskując wpływ na legislację i regulacje finansowe, a byli funkcjonariusze publiczni trafiają do banków, gdzie mogą dorobić się milionowych fortun. Jest już swoistą tradycją, że pracownicy Goldman Sachs i JPMorgan po opuszczeniu pracy w banku idą do administracji, gdzie robią za misjonarzy światopoglądu Wall Street i pilnują, by nie działo się nic, co mogłoby zaszkodzić interesom wielkiej finansjery. Wszyscy kolejni prezydenci USA otaczają się takimi ludźmi.

W maju 2016 roku kolportowana była w USA broszura, wydana przez kogoś, kto podpisał się jako „kongresmen X”. Autor bez ogródek opisuje, jak naprawdę wyglądają działania „wybrańców narodu”: „Jesteśmy marionetkami interesów specjalnych, doprowadzając kraj do bankructwa. Robimy to po to, żeby usłać gniazdko własne oraz tych, którzy nas popierają. Kongres stworzył kulturę egoizmu i korupcji, która niszczy samą ideę demokracji”. „Waszyngton jest ściekiem pijawek. Każdy próbuje manipulować systemem politycznym dla swojej korzyści, często ze szkodą dla kraju” – pisze X. Ciężko o lepszy opis systemu politycznego USA. Fragment z refrenu hymnu Stanów Zjednoczonych, który mówi o nich jako „kraj wolnych ludzi” brzmi teraz w najlepszym razie jak bardzo ponury żart – dzisiaj USA to bankowa oligarchia, która zapisana w konstytucji „dobrobyt powszechny” ma w bardzo głębokim poważaniu. Wielki biznes cały czas przekracza kolejne granice bezczelności w pokazywaniu, jak bardzo zdanie i sytuacja obywateli nie mają dla niego żadnego znaczenia. Byle tylko zgadzała się liczba dolarów i sztabek w skarbcach, a burżuazyjna policja chroniła ich głowy i interesy. Alexis de Tocqueville mógłby obecnie pojechać do USA najwyżej w celach turystycznych, bowiem „0 demokracji w Ameryce” można napisać tylko tyle, że jej nie ma.

Autorstwo: Dominik Pieniądz

Źródło: Strajk.eu